

ZAPOMNIANE MIASTO



Tłumaczenie: Robert P. Lipski

Kiedy tylko zbliżyłem się do zapomnianego miasta, czułem, że było przeklęte. Wędrowałem przez sprżoną, przerażającą dolinę skąpaną w blasku księżyca i w pewnej chwili ujrzałem je, sterczące niesamowicie ponad piaskami. Wyglądało tak jak części trupa, które mogłyby wystawać ze źle wykopanego grobu. Strach przemawiał przez sterane czasem kamienie tej sędziwej pozostałości potopu, tej prapramatki najstarszej z piramid i naraz niewidoczna aura poraziła mnie, nakłaniając, bym wycofał się przed pradawnymi i złowrogimi sekretami, których nie powinien ujrzeć żaden człowiek i jak dotąd nikt nie zdołał się na to poważyc.

Daleko pośród pustyni Arabii leżało zapomniane, pozbawione nazwy miasto, murszejące i niewyraźne. Jego niskie mury są niemal w zupełności ukryte wśród nagromadzonych przez niezliczone stulecia piasków. Musiało być tutaj, zanim położono kamień węgielny pod Memphis i zanim wypalono cegły na budowę Babilonu. Nie ma tak starych legend, by zapamiętano w nich jego nazwę lun choćby to, czy kiedykolwiek tętniło ono życiem. Szeptem mówi się o nim przy ogniskach i w namiotach szejków koczowniczych plemion, aby wszystkie ludy, nie wiadomo właściwie dlaczego, skrzętnie je omijały. To o tym właśnie miejscu Arab Alhazred, szalony poeta, śnił pewnej nocy, zanim stworzył swój niewyjaśniony kuplet:

*Nie umarło, co spoczywać w uśpieniu wieki całe może,
A czasu upływ w końcu i śmierć nawet zmoże.*

Powinienem był wiedzieć, że Arab miał ważki powód, by unikać miasta bez nazwy, miasta, o którym krążyły dziesiątki legend i którego nie widział żaden śmiertelnik, a jednak nie ulękłem się ich i z mym wielbłądem wybrałem się na niedostępne, pustynne odludzie. Tylko ja je widziałem i dlatego na żadnej twarzy nie ma tylu upiornych, zrodzonych ze strachu zmarszczek jak na mojej i nikt inny nie drży równie gwałtownie, gdy nocą wiatr uderza w szyby okien. Gdy dotarłem do miasta pogrążonego w ciszy i spokoju bezkresnego snu, spojrzało na mnie lodowato w promieniach zimnego księżyca, na przekór dziennemu żarowi pustyni. A gdy odpowiedziałem spojrzeniem, zapomniałem o mej radości z jego odnalezienia i zatrzymawszy się, zsiadłem z wielbłąda, aby zaczekać do świtu. Czekałem wiele godzin, aż niebo o świcie poszarzało, gwiazdy przybladły, a szarówka nabiegła różem ozdobionym domieszką złota. Usłyszałem jęk i ujrzałem tuman piaskowej burzy omiatający prastare kamienie, choć niebo było czyste, a przestwór pustyni spokojny jak okiem sięgnąć. Nagle nad horyzontem w oddali pojawił się gorejący skrawek słońca, widoczny poprzez kłęby piaskowej zawieruchy, która na szczęście już słabła, i przejęty odniosłem nagle wrażenie, jakby gdzieś z odległej otchłani doszły mnie dźwięczne, metaliczne odgłosy, zdające się witać przybycie ognistego dysku, tak jak witał go Memnon, stojąc nad brzegiem Nilu. Zadźwięczało mi w uszach i wyobraźnia zaczęła podszeptywać najróżniejsze wizje, gdy poprowadziłem wolno mego wielbłąda w stronę tego zakazanego miejsca, które spośród wszystkich śmiertelników ja tylko zdołałem zobaczyć.

Krążyłem wśród resztek fundamentów domów i placów, nie znajdując ani jednego hieroglify czy inskrypcji mówiącej o ludziach - jeżeli to w ogóle byli ludzie - którzy wybudowali to miasto i mieszkali w nim w zamierchłej, zapomnianej przeszłości. Przeszłość tego miejsca srodze i nieprzyjemnie dawała mi się we znaki i z utęsknieniem

wypatrywałem jakiegoś śladu czy urządzenia mogącego stanowić dowód, że miasto owo istotnie było wytworem rąk ludzkich. Wśród ruin dostrzegłem pewne proporcje i wymiary, które bynajmniej nie przypadły mi do gustu. Miałem ze sobą wiele narzędzi i zabrałem się za przekopywanie niektórych zasypanych budowli, ale robota szła mi opornie i nie dokonałem żadnych znaczących odkryć.

Gdy powróciły noc oraz księżyc, poczułem lodowaty wiatr, przywodzący ze sobą nowe lęki, toteż nie odważyłem się pozostać w mieście. Gdy wyszedłem poza pradawne mury, aby udać się na spoczynek, z tyłu za mną pojawił się mały, świecący tuman burzy piaskowej omiatający szare kamienie, choć księżyc świecił jasno i większość pustyni wydawała się spokojna.

Obudziłem się o świcie. W nocy dręczyły mnie koszmary, w uszach dźwięczało, jak od jakiegoś metalicznego łoskotu. Ujrzałem słońce typiące czerwono przez ostatnie poddmuchy niewielkiej burzy piaskowej wiszącej nad zapomnianym miastem bez nazwy i szczególną uwagę zwróciłem na panujący dookoła spokój. Raz jeszcze udałem się w głąb posępnych ruin kryjących się wśród piasków jak troll pod łóżkiem, ale i tym razem moje poszukiwania pozostałości zapomnianej rasy spełzyły na niczym. W południe zrobiłem przerwę na odpoczynek, a następnie zająłem się badaniem murów, ulic i zarysów niemal zupełnie pograżonych w piasku budynków. Stwierdziłem, że miasto musiało być rzeczywiście olbrzymie, i zastanawiałem się nad źródłem jego wspaniałości. Wyobrażałem je sobie w pełnej krasie w czasach tak odległych, że nie pamiętaliby go nawet Chaldejczycy, i pomyślałem o Sarnath Przeklętym w krainie Mnar, kiedy ludzkość była jeszcze młoda, i o Ib wykutym w szarym kamieniu, zanim na ziemi pojawił się w ogóle człowiek.

Nagle natknąłem się na miejsce, gdzie z piasku wyłaniała się, tworząc niski klif, lita skała. Tu, z nieskrywaną radością ujrzałem coś, co pozwoliło mi mieć nadzieję na rychłe odkrycie śladów poszukiwanego przeze mnie przedpotopowych kamiennych domów lub świątyń. Wnętrza mogły zawierać zachowane sekrety pradawnych czasów, zbyt odległych, by można je sobie w ogóle wyobrazić, choć burze piaskowe dawno temu usunęły z kamienia wszelkie rzeźbienia, które mogły się na nim znajdować.

Mroczne wejścia znajdujące się nieopodal, nisko umieszczone, wszystkie bez wyjątku były zasypane piachem, ale za pomocą łopaty oczyściłem jedną z nich i wczołgałem się do środka, zabierając ze sobą pochodnię, której blask miał ujawnić wszelkie znajdujące się wewnątrz sekrety. Gdy wślizgnąłem się do środka, stwierdziłem, że jaskinia rzeczywiście była świątynią, i ujrzałem wyraźne ślady pozostawione przez rasę, która żyła tu i odprawiała rytuały, zanim jeszcze miejsce to stało się pustynią. Prymitywne ołtarze, kolumny i nisze, wszystkie osobiwie niskie, nie były puste. Choć nie dostrzegłem żadnych rzeźb ani fresków, stało tu wiele pojedynczych kamieni, obróconych tak, by nadać im symboliczne kształty. Ta czełowana komnata rzeźb była dziwnie niska, trudno mi było bowiem wyprostować się, nawet na klęczkach, pomieszczenie okazało się jednak tak wielkie, że blask mej pochodni nie był w stanie oświetlić go całego.

W kilku kątach wstrząsnęły mną dziwne dreszcze, niektóre bowiem ołtarze i głazy sugerowały zapomniane rytuały przeraźliwej, odrażającej i niewyjaśnionej natury. Zastanawiałem się, jacy ludzie mogli wybudować i odwiedzać ową świątynię. Gdy ujrzałem już wszystko, co znajdowało się w środku, ponownie wypełzłem na zewnątrz ogarnięty gorączkowym pragnieniem ujrzenia tego, co skrywały inne świątynie.

Nadeszła noc, lecz pewne rzeczy, które ujrzałem, sprawiły, że ma ciekawość przemogła lęk i nie uciekłem przed długimi, księżycowymi ciemnościami, mrozącymi mi krew w żyłach, gdy pierwszy raz ujrzałem zapomniane miasto. W świetle zmierzchu oczyściłem kolejny otwór i z nową pochodnią wpełzłem do środka, by odkryć dalsze kamienie o niejasnym dla mnie znaczeniu i symbole, które wcale nie okazały się bardziej czytelne niż te oglądane w poprzedniej świątyni. Pomieszczenie miało również niski strop, ale nie było tak rozległe, kończyło się wąskim przejściem otoczonym z dwóch stron niewyraźnymi, tajemniczymi relikwiami. Nimi się właśnie zainteresowałem, gdy rozległ się poszum wiatru i parskanie mego wielbłąda na zewnątrz. Przerwałem swe badania i wyostałem się na zewnątrz, by sprawdzić, co tak przstraszyło to biedne zwierzę.

Księżyc świecił jasno nad prymitywnymi ruinami, skąpując swym blaskiem gęstą chmurę piasku, którą zdawał się przywiewać silny, acz słabnący wiatr z jakiegoś miejsca na powierzchni klifu, na wprost mnie. Wiedziałem, że to ten chłodny, piaszczysty wiatr spłoszył mego wielbłąda, i już miałem odprowadzić go w bezpieczniejsze miejsce, gdy uniósłszy wzrok, stwierdziłem, że na szczycie klifu wcale nie było wiatru. To mnie zdumiało i potwornie zaniepokoiło, ale natychmiast przypomniałem sobie gwałtowne, miejscowe burze piaskowe zaobserwowane wcześniej o świcie i zmierzchu, i uznałem to za całkiem normalne zjawisko. Musiało pochodzić z jakiejś szczeliny w skale, połączonej z jaskinią, i obserwując wzburzony piach, usiłowałem dojrzeć jego źródło. Wkrótce odkryłem, iż brał swój początek z czarnego otworu świątyni znajdującej się dość daleko na południe, niemal niewidocznej z miejsca, w którym stałem. Mimo zacinającego piasku pomaszerowałem ku tej świątyni, która, gdy się zbliżyłem, okazała się dużo większa od pozostałych, a jej wejście w mniejszym stopniu niż w innych zasypane było zwałami zbitego piachu. Wślizgnąłem się do środka, gdyby nie przeraźliwa siła lodowatego wichru, który omal nie zgasił mej pochodni. Wiatr wypływał z szaleńczą siłą przez ciemne wejście, zawodząc jak opętany, po czym burząc piasek i podrywając go w górę, całymi tumanami wdzierał się w głąb osobliwych ruin. Niebawem wichura osłabła i piasek zaczął opadać, lecz wrażenie, że wśród widmowych kamieni coś się czało, nie ustało i kiedy spojrzałem na księżyc, wydawało mi się, że jego tarcza faluje, jakbym patrzył na jego odbicie we wzburzonej wiatrem powierzchni stawu. Bałem się bardziej, niż mógłbym to wyjaśnić, lecz nie na tyle, by stłumić me pragnienie odkrycia nowych cudów, toteż kiedy tylko wiatr ustał, wszedłem do ciemnego pomieszczenia, skąd się wydostawał.

Ta świątynia zgodnie z moimi przypuszczeniami była większa od odwiedzanych dotychczas i musiała być zapewne naturalną jaskinią, jako że szalały w niej wiejące z jakichś odległych miejsc wiatry. Mogłem stanąć tu całkiem wyprostowany, ale zauważyłem, że kamienie i ołtarze również tutaj były tak samo niskie jak w tamtych świątyniach. Na ścianach i suficie po raz pierwszy spostrzegłem ślady sztuki artystycznej pradawnej rasy, osobiwie malowane zawijasy, z których w wielu miejscach odpadła farba. Na dwóch ołtarzach dojrzałem z przestającym podnieceniem labirynt cyzelowanych, meandrycznych płaskorzeźb. Uniósłszy pochodnię, narastałem się, że kształt sufitu również był zbyt regularny, aby mógł być dziełem natury, i zastanawiałem się, kim byli prehistoryczni kamieniarze, którzy się tutaj kiedyś mozolili. Ich zdolności inżynieryjne musiały być przeogromne.

Wtem jaśniejszy blask fantastycznego płomienia ukazał mi to, czego szukałem - otwór wiodący do odleglejszych czeluści, skąd napływał ów srogi wiatr - i ogarnęła mnie słabość, kiedy ujrzałem małe, wspaniale obrabione drzwiczki osadzone wprawnie w litej skale. Wsunąłem do środka rękę z pochodnią i ujrzałem czarny tunel, którego sklepienie opadało nisko wraz z obniżaniem się kondygnacji licznych wąskich, małych i bardzo stromych schodów. Zawsze będę widział je w mych snach, bo udało mi się poznać ich znaczenie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy mam je nazywać schodami czy jedynie oparciem dla stóp na opadającej ostro w dół stromiźnie. W moim umyśle pojawił się natłok szaleńczych myśli, a słowa i ostrzeżenia arabskich proroków zdawały się napływać przez pustynię z krain, które znamy, ku zapomnianemu miastu bez nazwy, którego śmiertelnicy poznać się nie odważają. Mimo to zawahałem się tylko przez chwilę, zanim wszedłem do środka i zacząłem schodzić ostrożnie po stromych wąskich schodach. Jedynie w przeraźliwych koszmarnych wizjach wywołanych gorączką lub narkotykiem można sobie wyobrazić zejście podobne do mojego. Wąskie przejście ciągnęło się bez końca niemal pionowo w dół niczym gardziel jakiejś upiornej, nawiedzanej studni, a pochodnia, którą trzymałem nad głową, nie była w stanie rozjaśnić nieznanych czeluści, ku którym podążałem. Straciłem poczucie czasu i zapomniałem spojrzeć na zegarek, choć z przerażeniem myślałem o odległości, jaką musiałem pokonać. Po drodze zwróciłem uwagę na nieznaczne wahania kierunku i pochyłe zejścia. W pewnej chwili dotarłem nawet do długiego, niskiego, poziomego tunelu, gdzie musiałem się wcisnąć nogami do przodu, trzymając zapaloną pochodnię w wyciągniętej ręce. Tunel nie był dość wysoki, aby można w nim klęknąć. Potem znowu były strome schody i opuszczałem się coraz to niżej i niżej, bez końca, gdy w pewnej chwili moja pochodnia zgasła. Wtedy jednak nie zwróciłem na to uwagi, bo kiedy sobie to uświadomiłem, wciąż trzymałem rękę nad głową, jakby żagiew nadal się paliła. Byłem dość niezrównoważony, z uwagi na mój instykt i pragnienie poszukiwania rzeczy dziwnych czy niezbadanych, które uczyniło ze mnie wędrowca, badacza odległych prastarych i zakazanych miejsc.

Gdy tak stałem pośród ciemności, mój umysł rozbłysnął fragmentami zdobytych przeze mnie informacji, otworzył się kuferek z zawartością wszystkiego co tajemne, diabelskie i złowrogie. Przypomniałem sobie fragmenty tekstów szalonego Araba Alhazreda, apokryficznych koszmarów Damasciusa i niesławnych cytatów delirycznego Image du Monde Gauthiera de Metz. Powtórzyłem osobliwe urywki i szeptałem do siebie o Afroarabie i demonach, które płynęły z nim w głąb Oxus, później zaś powtarzałem bez końca zdanie z jednej z opowieści Lorda Dunsany'ego - o „nie rozbrzmiewającej echem czerni otchłani”. Gdy zejście stało się zdumiewająco strome, śpiewnie wyrecytowałem fragment z Tomasa Morusa, aż lęk nie pozwolił mi powiedzieć nic więcej:

*W otchłani gardziel zmroczną czerń
Jak wiedźmi kocioł wypełniony
Wywarem jadzim i zdradliwym
W księżycu blasku uwarzonym
Wejrzałem, aby się przekonać
Czy nogę na wykrocie stawię
I wtędym zoczył w głąb otchłani
A cóżem ujrzał, to wyjawię
Jak oko sięgnąć me zdołało
Postrzegłem lśniąca gładzią ściany
Czarną jak miazmat co Domena
Śmierci na brzeg wypłuka ją skalany.
Pójdźcie tu, przyjaciele, wytozczcie beczkę piwa*

Czas przestał istnieć, kiedy moje stopy znów stanęły na twardszym, równym podłożu i znalazłem się w miejscu o nieco wyższym sklepieniu niż w dwóch mniejszych świątyniach, znajdujących się teraz gdzieś nieopisanie wysoko nad moją głową. Nie mogłem stanąć, lecz swobodnie ukląknęłem wyprostowany i po ciemku zacząłem brnąć na klęczkach to w tę, to w drugą stronę. Niebawem zorientowałem się, że znalazłem się w wąskim przejściu, którego ściany zdobiły drewniane przeszklone szafki. Ich widok w tym prastarym, odrażającym miejscu zdziwił mnie niepomiernie, a po mych plecach przeszły zimne ciarki, gdy uświadomiłem sobie, co mogło to oznaczać. Szafki stały po obu stronach korytarza w regularnej od siebie odległości, podłużne i płaskie, ohydne, przypominające kształtem i wielkością trumny. Gdy spróbowałem poruszyć kilka z nich, okazało się, iż były mocno przytwierdzone do podłoża.

Korytarz był, jak stwierdziłem, długi, toteż ruszyłem nim naprzód, a gdyby ktoś ujrzał mnie wtedy sunącego chwiejnie pośród ciemności, widok ten z pewnością zmroziłby mu krew w żyłach. Od czasu do czasu krążyłem od ściany do ściany, aby sprawdzić otoczenie i upewnić się, że pod ścianami wciąż znajdowały się rzędy skrzyń. Człowiek jest przyzwyczajony do myślenia wizualnego, toteż prawie zapomniałem o ciemności i wyobraziłem sobie bezkresny korytarz z drewna i szkła, tak wyraziście, jakbym go ujrzał na własne oczy. I wtedy, w chwili niemożliwej do opisanie emocji, naprawdę go zobaczyłem.

Nie potrafię stwierdzić, kiedy moja wyobraźnia zlała się w jedno z widzialną rzeczywistością, jednak przede mną pojawiła się w pewnej chwili narastająca stopniowo poświata i zacząłem postrzegać słabe zarysy korytarza i skrzyń, ujawnianych mi przez osobliwą fosforescencję. Przez krótką chwilę było dokładnie tak, jak wszystko sobie wyobraziłem, jako że poświata była bardzo słaba. Kiedy jednak ruszyłem w kierunku światła, okazało się, jak wielce się omyliłem. Ten korytarz nie był reliktem topornym jak świątynie w mieście powyżej, lecz pomnikiem najwspanialszej i egzotycznej sztuki. Bogate, żywe i fantastycznie śmiałe płaskorzeźby i freski tworzyły ciąg ścienny malowideł, których linii i barw opisać nie sposób. Skrzywnie wykonane były z dziwnie złocistego drewna z wiekami ze szkła, a wewnątrz znajdowały się zmumifikowane truchła istot wykraczających w swej groteskowości poza wszelkie najśmielsze wyobrażenia, jakie mogą narodzić się w naszych koszmarach.

Opisanie tych okropieństw jest niemożliwe.

Były to istoty gadzie, niekiedy spokrewnione zapewne dalece z krokodylem, innym znowu razem z foką, przeważnie jednak nie przypominały żadnych stworzeń znanych biologom czy paleontologom na całym świecie. Nie były większe od niskiego człowieka, a ich łapy w osobliwy sposób przypominały delikatne ludzkie dłonie i stopy. Najdziwniejsze były jednak ich głowy, o konturach łamiących wszelkie znane biologii zasady. Istot tych z niczym nie można było porównać. W jednym trwającym mgnienie oka przebłytku przyszły mi na myśl skojarzenia z kotem, buldogiem, mitologicznym satyrem oraz człowiekiem. Zróznicowanie było ogromne. Czyż sam Jowisz nie miał tak szerokiego i sterczącego czoła, niemniej jednak rogi, brak nosa i szczeka jak u aligatora umiejscowiły te istoty poza wszelkimi ustalonymi w biologii kategoriami. Przez chwilę zastanawiałem się nad realnością tych mumii, na w pół podejrzewając, iż były to sztuczne bałwany, niebawem jednak stwierdziłem, że mogły one istotnie należeć do jakiegoś prehistorycznego gatunku, który istniał w czasach, kiedy zapomniane miasto tętniło jeszcze życiem. Ich groteskowość podkreślał fakt, że większość z tych istot miała na sobie bogato zdobione szaty z najprzedniejszych materiałów, skrzące się złotem, drogimi kamieniami i nieznanymi lśniąco metalami.

Te pełzające istoty musiały być bardzo ważne, skoro zajmowały pierwsze miejsce wśród tych zdobionych freskami ścian. Artysta z nie mającym sobie równych kunsztem nakreślił je w ich świecie, gdzie miały własne miasta i ogrody urządzone specjalnie dla ich potrzeb, ja zaś nie mogłem oprzeć się pokusie by stwierdzić, że ich obrazkowa historia była alegorycznym odzwierciedleniem historii i rozwoju rasy oddającej im cześć. Istoty te, jak powiedziałem sam sobie, były dla mieszkańców zapomnianego miasta tym, czym wilczyca dla Rzymu i czym są dla Indian niektóre z totemowych bestii.

Z tej perspektywy mogłem, aczkolwiek z pewnymi niedogodnościami, śledzić cudowną epicką historię owego miasta bez nazwy, opowiedzieć o wielkiej portowej metropolii, która dominowała nad światem, zanim z odmętów oceanu wyłoniła się Afryka, oraz jej zaciętą walkę, gdy morze cofało się i pustynia postępowwała coraz dalej w głąb żyznego ongiś łądu. Widziałem jej wojny i triumfy, kłopoty i porażki, a potem rozpaczliwą walkę z pustynią, kiedy tysiące mieszkańców miasta, ukazanych tu alegorycznie jako groteskowe jaszczury, zostało zmuszonych. By ryc tunel w głąb ziemi, wiercić korytarze w skałach w przedziwny, cudowny wręcz sposób do innego świata za sprawą i namową kierujących nimi proroków. Było to zarazem niezwykle fantastyczne, jak i realistyczne, a związek tego, na co patrzyłem, z przeraźliwą drogą, którą przebyłem, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Rozpoznałem nawet korytarze.

Gdy się tak skradałem korytarzem ku jaśniejszemu światłu, ujrzałem ostatnie epizody utrwalonej na murach epopei - pożegnanie rasy, która zamieszkiwała w zapomnianym mieście i dolinie wokół niego przez dziesięć milionów lat; ludu, którego dusze obumarły, gdy zmuszony został opuścić miejsca znane od tak dawna. Miejsca, gdzie przybyli się osiedlić jako nomadowie we wczesnej młodości Ziemi, wykuwając w dziewiczych skałach te pierwotne, prymitywne świątynie, których nigdy nie przestali odwiedzać jako miejsc swego kultu.

Teraz w lepszym świetle przyjrzałem się freskom uważniej i pamiętając, że dziwne gadostwory musiały przedstawiać nieznanych ludzi, zacząłem zastanawiać się nad obyczajami zapomnianego miasta. Wiele rzeczy było dziwnych i niewyjaśnionych. Cywilizacja znająca pisaną alfabet musiała znajdować się na wyższym etapie rozwoju niż nieskończenie późniejsze cywilizacje Egiptu i Chaldei, były jednak pewne osobliwe przeoczenia. Nie natknąłem się na przykład na rysunki przedstawiające śmierć czy ceremonie pogrzebowe, z wyjątkiem fresków ukazujących wojny, przemoc i plagi. Zastanawiał mnie ten dziwaczny brak scen naturalnej śmierci. Zupełnie jakby sugerowano tu, dla przynoszącej radość i ukojenie iluzji, ideę nieśmiertelności.

W końcu korytarza namalowane były wyjątkowo ekstrawaganckie i malownicze oraz uderzające w swej wyrazistości sceny, które przedstawiały zapomniane miasto opuszczone i obracające się w ruinę oraz dziwną, nową rajską krainę, do której przebiły się przez pokłady skał groteskowe istoty. Na freskach tych miasto i pustynna dolina ukazane były zawsze w blasku księżycy, którego złoty nimb wisiał nad obróconymi w gruzy murami, ujawniając pełną przepychu doskonałość dawnych czasów odzwierciedlaną zwodniczo i widmowo przez artystę. Rajskie sceny były nazbyt ekstrawaganckie, by dać im wiarę, zwłaszcza iż ukazywały ukryty świat wiecznego dnia pełen wspaniałych miast, eterycznych wzgórz i uroczych dolin. Na samym końcu odniosłem wrażenie, że widzę oznaki artystycznego rozczarowania. Freski były mniej udane i dziwaczniejsze nawet niż najbardziej osobliwa z przedstawionych dotąd scen. Zdawały się rejestrować postępującą dekadencję prastarej rasy usiłującej z narastającą zaciętością powrócić do zewnętrznego świata, skąd przegnała ją ofensywa pustyni. Postaci ludzi - wciąż przedstawianych jako święte gady - zdawały się stopniowo ginąć, podczas gdy ich duch, unoszący się nad ruinami w blasku księżycy coraz bardziej przybierał na sile. Wycieńczeni kapłani przedstawieni jako gady w bogato zdobionych szatach, przeklinali powietrze w górce i wszystkich, którzy nim oddychali, przerażająca zaś ostatnia scena ukazywała prymitywnie wyglądającego człowieka, być może założyciela prastarego Irem, Miasta Kolumn, rozdartego na strzępy przez członków starszej rasy. Pamiętam, jak Arabowie

lękali się miasta bez nazwy, i byłem zadowolony, że poza tym miejscem szare mury i sklepienia były nagie.

Podziwiając freski, dotarłem prawie do końca nisko sklepionego korytarza i ujrzałem bramę, przez którą wpływało do tunelu owo dziwne światło. Zbliżywszy się do niej, krzyknąłem w głos, zdjęty zdumieniem na widok tego, co znajdowało się po drugiej stronie, miast bowiem innego, jeszcze jaśniej oświetlonego pomieszczenia ujrzałem jedynie bezkresną pustkę emanującą oślepiający blask. Poczułem się, jakbym patrzył z wierzchołka Mount Everestu na morze skąpanej w słonecznych promieniach mgły. Z tyłu za mną był korytarz, tak niski, że nie mogłem w nim stanąć, przede mną zaś nieskończony przestwór podziemnej luminescencji.

Z korytarza wiodły w otchłań światłości kolejne, strome i wąskie schody, równie małe i liczne jak te, którymi dotarłem aż tutaj, ale widziałem tylko kilka pierwszych stopni, resztę przesłaniały jarzące się białe opary. Przy lewej stronie korytarza znajdowały się otwarte na oścież masywne odrzwia z mosiądzu, niewiarygodnie grube i ozdobione fantastycznymi płaskorzeźbami, które zatrzaśnięte i zamknięte na głucho, mogły oddzielić na dobre całą tę wewnętrzną krainę światłości od krypt i korytarzy wykutych w skałach. Spojrzałem na schody, ale za nic nie odważyłem się na nie zstąpić. Dotknąłem otwartych mosiężnych odrzwi, ale nie byłem ich w stanie poruszyć. W końcu osunąłem się bez sił na kamienną podłogę, a umysł mój gorzał od błyskotliwych skojarzeń, których nawet śmierci podobne wyczerpanie nie było w stanie odegnać.

Gdy tak leżałem z zamkniętymi oczami, rozmyślając, przyszło mi na myśl wiele rzeczy związanych z freskami, na które dotąd nie zwróciłem uwagi, a które nabrały dla mnie całkiem nowego i przerażającego znaczenia - sceny przedstawiające zapomniane miasto w okresie swego rozkwitu - żyzną dolinę dokoła i odległe łądy, z którymi handlowali tutejsi kupcy. Alegoria pełzających istot zastanawiała mnie swym uniwersalnym znaczeniem i nie mogłem nadziwić się, że można było przedstawić w ten sposób tak ważną i widowiskową historię.

Na freskach zapomniane miasto ukazane było w proporcjach odpowiadających gadom. Zastanawiałem się, jakie były jego prawdziwe proporcje i wspinałości, po czym przez jakiś czas myślałem o pewnych dostrzeżonych w ruinach osobliwościach. Przypomniałem sobie, jak niskie były te prymitywne świątynie i podziemne korytarze, bez wątpienia wykute w ten sposób przez szacunek dla łuskokórych bóstw, którym oddawano tam cześć, choć dzięki temu wyznawcy musieli niewątpliwie czołgać się na brzuchach jak gady.

Może odprawiane tam ceremonie zawierały również pełzanie w celu naśladowania uwielbianych stworzeń. Żadna jednak teoria religijna nie mogła wytłumaczyć, dlaczego podziemne korytarze pod świątyniami miałyby być równie nisko sklepione jak pomieszczenia powyżej, ba, nawet niżej, gdyż w korytarzach tych nie dało się pewnie swobodnie uklęknąć. Kiedy pomyślałem o pełzających istotach, których zmumifikowane truchła znajdowały się tak blisko mnie, poczułem nowy przyпіtyw lęku. Umysł ludzki działa w dziwny sposób i przywołuje osobliwe skojarzenia. Ze zgrozą odegnałem więc od siebie myśl, że ten nieszczęsny prymitywny człowiek rozdarty na strzępy na ostatnim fresku mógł być jedyną ludzką istotą pośród mnogości reliktyw i symboli przedwiecznego życia.

Jak zawsze jednak w mym dziwnym, pełnym wędrówek życiu strach został wkrótce wyparty przez ciekawość, świetlista otchłań bowiem i to, co się mogło w niej znajdować, przedstawiały sobą zagadkę godną największego badacza. Nie wątpiłem, że na końcu tych schodów istniał pełen cudów i tajemnic. Miałem nadzieję, że znajdę tam wspomnienia istot ludzkich, których nie przedstawiono na umieszczonych w tunelu freskach. Malowidła przedstawiały niewiarygodne miasta i doliny, a moja fantazja tworzyła obrazy niesamowitych, oczekujących na mnie w dole, gigantycznych, cudownych ruin.

Moje lęki tyczyły się bardziej przeszłości niż przyszłości. Nawet fizyczna groza mego położenia, gdy tak leżałem w ciasnym tunelu pełnym martwych gadów i przedpotopowych fresków całe mile pod powierzchnią znanego mi świata, o wyciągnięcie ręki od krainy światła i mgieł, nie mogła równać się z zabójczą trwogą, którą poczułem, uświadamiając sobie, jak stare musiało być to miejsce. I jak stara musiała być jego dusza. Zdawały się pochodzić z otchłani czasu tak odległej, że nie sposób jej zmierzyć. Czas był jeszcze młody, podczas gdy to miasto przeżywało okres największego rozkwitu, najstarsze bowiem, najbardziej zdumiewające mapy na freskach ukazywały zupełnie inną Ziemię, z innym układem oceanów i kontynentów, o których ludzkość zupełnie dziś zapomniała. Jedynie tu i ówdzie dostrzec można było znajome współcześnie kontury. O tym, co mogło wydarzyć się na przestrzeni eonów, odkąd zaprzestano tworzenia tunelowych fresków, do momentu całkowitego wyginięcia nienawidzącej śmierci rasy, nikt nie jest w stanie niczego powiedzieć. Niegdyś w tych korytarzach i świetlistej krainie opodał tętniło życie, teraz byłem tu sam, z reliktywami zamierchłej przeszłości, i drżałem na myśl o nieskończonych stuleciach, w których relikty owe trwały na swej cichej, samotnej warcie.

Nagle poczułem kolejną fazę tego dojmującego lęku, który ogarniał mnie sporadycznie, odkąd po raz pierwszy ujrzałem przerażającą dolinę i zapomniane miasto skąpane w zimnym blasku księżyca. Pomimo wyczerpania zacząłem podnosić się gorączkowo do pozycji siedzącej i powróciłem wzrokiem ku mrocznym tunelom wiodącym w górę, ku zewnętrznemu światu. Ogarnęło mnie dziwne przecucie, to samo, które nakazało mi unikać miasta bez nazwy po zmierzchu, i równie niewyjaśnione jak przenikliwe. Jednak już w chwilę później przeżyłem silniejszy wstrząs, usłyszawszy wyraźny dźwięk - pierwszy, który przełamał absolutną ciszę panującą w tych niemal grobowych czeluściach. Był to głęboki, niski jęk jakby odległego tłumu dusz potępionych, dochodzący ze strony, w którą patrzyłem.

Z każdą chwilą odgłos coraz bardziej przybierał na sile, aż w końcu zaczął rozbrzmiewać przeraźliwym gromkim echem w dolnym korytarzu, a ja równocześnie poczułem, że nagle zrobiło się zimno, jakby od strony tuneli i miasta powyżej zrobił się przeciąg i do korytarza zaczęło wpływać lodowate powietrze. Już pierwszy podmuch

przywrócił mnie do równowagi, natychmiast bowiem przypomniałem sobie burze piaskowe szalejące u wejścia do czeluści o świcie i zachodzie słońca, owe chłodne wichury, dzięki którym odkryłem wejście do sekretnych tuneli. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że świt był już blisko, toteż zapałem się o ścianę, by stawić czoło wiatrowi, który wpływał na powrót do swej podziemnej domeny, którą opuścił wieczorem. Strach mój znowu osłabł, jako że zjawiska naturalne nie pobudzają do rozmyślań nad nieznanymi fenomenami.

Coraz silniejszy i bardziej zajadły nocny wicher wdzierał się, wyjąc, jęcząc i zawodząc w otchłani wnętrza ziemi. Ponownie zleżłem płasko na ziemi, przywierając, najlepiej jak potrafiłem, do podłoża, lękałem się bowiem, że silny wicher mógłby cisnąć mnie jak nieważkie piórko przez otwartą bramę w głąb świetlistej otchłani.

Nie spodziewałem się takiej furii żywiołu i gdy poczułem, że wolno, lecz nieubłaganie przesuwam się w kierunku czeluści, owładnęły mną tysiące nowych lęków, obaw i imaginacji. Siła i zajadłość podmuchu ożywiła niewiarygodne teorie i fantazje - raz jeszcze z dreszczem grozy porównałem siebie do jedyne go wyobrażenia istoty ludzkiej w przerażającym korytarzu, wizerunku człowieka, który został rozdarty na strzępy przez nie mającą nazwy rasę, w zajadłych bowiem atakach diabelskiej wichury szalejącej opętańczo wokół mnie zdawałem się wyczuwać mściwy gniew, tym silniejszy, że efekty jej działań wydawały się znikome. Wydaje mi się, że pod koniec krzyczałem - byłem o krok od utraty zmysłów - ale jeżeli tak, jeżeli rzeczywiście wyłem jak oszalały, mój wrzask utonął na dobre wśród zrodzonego w czeluściach piekieł jazgotu i skowytu powietrznych widm.

Próbowałem się czołgać, walcząc z morderczym, niewidocznym, znoszącym prądem, lecz był on silniejszy. Nie miałem się czego uchwycić i wolno, nieuchronnie osuwałem się w stronę nieznanego świata. W końcu musiałem jednak poddać się obłędowi - zacząłem bowiem powtarzać raz po raz, bez końca, niewyjaśniony kuplet szalonego Araba Alhazreda, który śnił o zapomnianym mieście.

*Nie umarło, co spoczywać w uśpieniu wieki całe może,
A czasu upływ w końcu i śmierć nawet zmoże.*

Tylko posepni zadumani bogowie pustyni wiedzą, co się wtedy naprawdę wydarzyło - jakie nieopisane trudy i znoje musiałem pokonać pośród ciemności lub jakież Abaddon odprowadził mnie na powrót do krainy żyjących, gdzie wspomnienie tego, co zaszło, nigdy mnie już nie opuści i gdzie drżał będę, słysząc zawodzenie nocnego wiatru, do dnia, kiedy wydam ostatnie tchnienie - lub kiedy - co gorsza - ów wiatr zabierze mnie ze sobą. To było potworne, nienaturalne, kolosalne, wykraczające ponad wszystko, w co może uwierzyć człowiek, nie licząc owych rzadkich cichych, mrocznych godzin przedświt, kiedy dręczy ludzi bezsenność.

Wspomniałem już, że furia tej wichury była iście diabelska, piekielna, demoniczna, głosy zaś odrażające i przepełnione złem i ponadczasową wrogością. Obecnie głosy te, mimo iż wciąż chaotyczne, zdawały się dla mego udręczonego mózgu przyjmować bardziej zrozumiałą, artykułowaną formę. I nagle w czeluściach grobu umarłych całe eony temu prastarych istot, głęboko pod powierzchnią skąpanego w promieniach wstającego słońca świata ludzi, usłyszałem upiorne przekleństwa, warkot i złorzeczenia czartów posługujących się dziwnym językiem.

Odwracając się, ujrzałem odcinającą się na tle świetlistego eteru otchłani, czego nie byłem w stanie dostrzec w półmroku korytarza, koszmarną hordę pędzących jak szalone diabłów; szczerzących się upiornie, łypiących nienawistnie w pół przezroczyстых czartów należących do rasy, której człowiek nie mógłby pomylić z żadną inną - były to pełzające potworne gadzie istoty, mieszkańcy zapomnianego miasta.

A kiedy ucichł wiatr, znalazłem się wśród przeraźliwej ciemności, mroku najgłębszego wnętrza ziemi, kiedy bowiem ostatnia z kreatur przekroczyła granicę krainy świetlistego eteru, wielkie mosiężne drzwi zatrzasnęły się za nią z ogłuszającym metalicznym hukiem, który rozbrzmiewając dokoła gromkim, melodyjnym echem, przywołał mój na myśl całemu światu odgłos powitania wschodzącego słońca, tak jak niegdyś Memnon witał je, stojąc nad brzegiem Nilu.

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[Początek]